

MARYA SEGENY.

Fragmenty.

Doktor Andrzej.

Doktor Andrzej usiadł u wejścia namiotu. Kilko-dniowa gorączkowa praca wyczerpała go zupełnie. Noc zapadała szybko, noc dobroczynna i kojąca, niosąc choć cokolwiek wytchnienia i ulgi. Zdała dochodził go głuchy, stłumiony odgłos walki, niby daleki pomruk nadciągającej burzy. Doktor Andrzej jednak nie zwracał na to uwagi. Na mózgu jego osiadła nieprzebrana, ciężka mgła, tłumiąc wszelki odruch samoistnej, rzeźwiejszej myśli.

On, który przed kilkoma godzinami jeszcze pomimo wyczerpującej pracy i całej energii skupionej tutaj, w tym bezmiarze bólów i cierpień — szedł całą duszą za tamtymi, żył z ich młodym zapałem, pragnąc gorąco, gdyby to w mocy jego było, rozdmuchać, rozolbrzymić gorejące w nich zarzewie — teraz, obojętny, zimny, nagle zmalał, czuł, że się w nim kołaczę tylko jedna, jedyna myśl. To myśl, którą potrafił przecieć ujarzmić przez szereg tygodni, którą całą mocą odrodzonej duszy odrzucił precz od siebie, jak coś nieswojego, coś, co pomimo woli i wiedzy wypełzło jak gad żrący i toczyło powoli jego młode życie. Myśl — pragnienie zemsty.

Objęła go ona potężnym, żywiołowym płomieniem w ten dzień, w którym runęły, jak dąb zmurzały, wszystkie jego najserdeczniejsze nadzieje i marzenia. I od tej chwili doktor Andrzej przestał być sobą. Porwały się, jak nikiel włókna pajęczne, te wszystkie nici, łączące go z jego światem zewnętrznym — był sam ze swoim bólem, zasklepiony w rozpaczliwej chęci zemsty, jęcząc krwawiącą ciągle ranę rozpamiętywaniem, rozdrabnianiem doznanej, palącej krzywdy.

A przyszła ona tak nagle, tak niespodziewanie. Człowiek, który od lat tylu był jego przyjacielem, prawie współtowarzyszem dotychczasowego życia, zdradził go podstępnie, kradnąc to, co miał najdroższego, ukochaną kobietę. On to zabił jego duszę, zniszczył w niej wszystkie piękne i szlachetne pędy życia, przysypując je garścią popiołu, z pod którego wybuchała jadowita, żrąca iskra nienawiści.

Stan ten trwał dość długo. Doktor Andrzej żył już tylko potężniejącem z każdą chwilą pragnieniem odwetu. Godzina ta przecieć nadejść musiała, a gotował się do niej zimno, z całą samowiedzą maniaka, zapatrzonego w jedną utopiijną ideę, którą zrozumieć i podsycać potrafił.

Aż nagle nadciągająca ze wszech stron fala radosnych, nadziejnych wieści dotarła do niego. Ocknął się doktor Andrzej.

Jak drzewo pogrążone w śnie zimnym za pierwszym wiosennym podmuchem wyrzuca z siebie w żywiołowej sile rozrodzkiej młode, silne pędy, rwące się ku słońcu — tak dusza Andrzeja, zbudzona nagle tym słonecznym, promiennym prądem, rozwarła się szeroko, chłonąc chciwie drgnięcia nowego życia, nadciągające zdala.

Ożyły dawne marzenia o jasnej, wolnej przyszłości, o wspólnej, plonnej pracy na ojczyznej ziemi, o bliskim dniu wyzwolenia. Dźwięk trąbki bojowej serdecznym echem rozbrzmiał w jego duszy, wypłaszając z niej to wszystko złe, co samolubnie rozpleniając się, groziło już ostateczną zaturą. Porwany wielką pieśnią wolności, dolatującej ze wszech stron, dobrowolnie zaciągnął się w bratnie szeregi. Znikła paląca udreka przeszłości, ból własny zdał mu się teraz śmieszną karykaturą cierpienia, nikłym atomem, skazanym przemocną siłą wypadków na zaginięcie. Opuściły go dawne, mściwe pragnienia. Z zapomnieniem o sobie, całą swą wiedzę i siły, jako lekarz, oddał na usługi rannych towarzyszy.

I oto teraz znowu nagły, nieprzewidziany powrót do przeszłości.

Wzdrygnął się ze wstrętem doktor Andrzej i nieprzytomnie spojrzał wokoło. W ciemnej i nieprzeniknionej nocy błyszczały gdzieś drobne, błyszczące światełka, a nieprzerwany pomruk morderczej walki, niesiony silnym podmuchem wiatru, monotonnym echem rozchodził się po pustych polach, zlewając się z echem rannych, spoczywających pod namiotem. Jeden silniejszy jęk wyrwał Andrzeja z odętnienia. Oczy jego rozblityły nienawiścią.

Dlaczego ten człowiek stanął znowu na jego drodze? Teraz, kiedy dawny, niepokojący ból i poczucie piekającej krzywdy dogorywało powoli na dnie jego duszy pod nawalem nowych, przemożnych wra-

żeń i uczuć, kiedy zdało mu się, że zdeptał już w sobie na zawsze to przekłete wspomnienie i nie było w nim nic ponad to gorące pragnienie, którym dyszały zgodnie tysiączne legiony współbraci.

I oto znowu powracał tamten!

Jak widmo pogardzonej przeszłości, stał przed nim tak potężny w swej niemocy, tak bezbronny, jak dziecię porzucone po drodze, a przecieć rozgrzeszony prawie w jego oczach tym świętym chrztem krwi, wylanej we wspólnej, serdecznej sprawie.

Wszak teraz był w jego mocy!

Sam los przysłużył mu się znakomicie, budząc uśpioną nienawiść, podsuwając sposobność dawno oczekiwanej chwili odwetu.

Bo teraz cóż?

Jedna chwila, jeden ruch, szarpnięcie bandaża, a porachunek z tamtym załatwionym zostanie. Pamięta, jak kilka godzin temu wniosła go tutaj na noszach służba sanitarna. Z rozdartej odłamkiem pocisku piersi krew purpurowym strumieniem buchała, ciemnymi plamami znacząc poszarpany mundur, przeciekając grubymi kroplami po przez nosze na ziemię.

Nie poznał go w pierwszej chwili. Rzucił się ratować.

Starannie opatrzył ranę, wyczyścił, zatamował krew, a gdy pochylił się nad rannym, aby mu do ust wlać kilka kropel wody, oczy jego spotkały się z jego spojrzeniem.

Poznał go!

Przez chwilę dusza w Andrzeju zamarała. I tamten go poznał. Widział to w jego uporczywym spojrzeniu, w którym, oprócz wielkiego bólu, wyczytał dziwny jakiś spokój i powagę.

Nie mógł znieść tego wzroku. Zerwał się i jak szalony wybiegł z namiotu. Długo błąkał się po pobliskich polach, szarpiąc duszę na strzępy nawalem rozszałych myśli, które, jak druzgocący huragan, uderzyły w niego całą rozkietowaną siłą. Gdy powrócił i zmęczony, bezwładny usiadł u wejścia namiotu, taki beład chaotyczny objął jego umysł, iż sam już nie wiedział, co czynić ma, za czym iść, czego pożądać.

Błędami, rozgorączkowanymi oczyma zapatrzył się bezmyślnie w noc ciemną, skąpo oświeconą nikłymi światłami, zapominając, gdzie jest i poci tu przybył, nie zdając już sobie sprawy z tego, co się wokoło niego działo. Z nużącej ciszy, która opadła na jego zmysły, wyrwał go stłumiony szept:

— Andrzeju!

Jednym skokiem znalazł się przy rannym. I znowu zmierzli się wzrokiem, tylko z oczu tamtego wbiegła teraz gorąca, serdeczna prośba.

— Andrzeju! Pozwól mi mówić. Przeżyłem razem z tobą tych kilka godzin strasznej udręki, poznałem twoje myśli, zamiary. Przebac, zawiniłem. Zachowaj mi jeszcze życie... ono tak potrzebne tam... Potem, kiedy dzień lepszy dla nas zaświta, zrobisz ze mną, co zechcesz.

Płomienna łuna wstydu oblała twarz Andrzeja. Jak mógł choć na chwilę jedną zatruć duszę tą straszną, ohydą myślą, kiedy tam w dali brzmiała zgodnym, wielkim akordem cudna pieśń bojowa, kiedy przejęci wspólną, czystą ideą szły tysiączne zastępy z wiarą, z uśmiechem na ustach na krwawy porachunek wiekowy, niosąc bujne, młode życie w ofierze, kiedy tam może w tej chwili padały ich tysiące w potężnej, wielkiej pogardzie śmierci, on tu...

Nie, nie!

Nagłym, nieobliczalnym ruchem pochylił się nad rannym i gorączką spieczona usta przycisnął do jego czoła.

Na warcie.

Po szerokim, pustym błoniu przeleciał pierwszy wiosenny wiew. Przypadł do rdzawych, zmurzałych traw, popieścił tchnieniem radosnym, poderwał się zuchwały, pewny siebie i uderzył na nagie, wpół-senne szkielety drzew, na ciemne, szczytne mury uśpionego zamczyska, szepcząc jakieś słowa nadziei i wyzwolenia.

I oto stało się, że drzemające, przywalone długim ciężarem życie budzi się powoli, szeroko roz-wiera ramiona, chłonąc w siebie te świeże, nadpływające prądy.

Załomotały silniej konary drzew nagie, wdzięczniej plusnęła fala, odbijająca się o żelazne podwaliny mostu, zjaśniał błękit nieba ciemnego, a z głębin błonia popłynęły szczyty, szmery jakieś, niby leniwe westchnienia człowieka nagle ze snu zbudzonego, i pobiegły gwarząc ku miastu.

Zastuchał się w ten szmer tajemny młody żołnierz, stojący na warcie koło mostu. Rozszerzonemi oczyma wpatrzył się wyczekująco w czarną, olbrzy-

mią plamę zamku, rysującą się ciężko i wyraźnie na jaśniejszym tle nieba. Cicha, przedwiosenna noc, pełna obietnic dziwnych i radosnych, objęła go w moc swoją władczą. Jakieś mętne rojenia, jakieś zmalo-wane odbicia obrazów, gdzieś już i kiedyś silniej w mózgu przeżytych, oderwane błyski wrażeń i myśli, poczętych w godzinie wielkiego natężenia i pragnień gorących, teraz zamglonym oparem spadły na jego duszę. I pamięć, leniwie łowiąca jakieś błyski świadomości żywszej, rozgorzała namiętne marzeniem, biegnąc tą drogą wiary, na którą zawsze pierwsze wiosenne powiewy rzucają życia młode.

I zdało mu się, że zadrgało coś w tem powietrzu sennym, w tej ciszy niepokojącej, nabrzmiałej głuchem oczekiwaniem. Budziła się wiosna, budziło się nowe, odrodzone życie.

Bo oto pewnym był, że już tu kiedyś był przed latami i zastygł tak powoli nad tą wielką mogiłą niezapomnianych wydarzeń, wsłuchany w jej niemą, cichą skargę... a oto teraz wokoło niego przepływają żywe, radosne fale życia nowego, biją zwycięsko w mchem już zarastającą mogiłę, budząc, wskrzeszając z martwych duchy w niej drzemające, wołając na czyny wielkie i nowe!

I budzi się z letargu wielka dusza starego grodu, czuwająca od wieków przecie z wyniosłości swojej nad skarbem jej pieczy powierzonym.

Zbudził się zamek stary...

Rozgorzał tysiącami łun jasnych, zawrzał potężnym tętnem życia, kipi w nim gorąca fala, purpura krwi, wołające o czyn i zemstę. Rozbrzmiewają hasła, chrzęszcząc głucho zardzewiałe zbroje, rażno parszając konie do lotu gotowe. Z głośnym łomotem żelazów rozwiera się nagle wielka, ciężka brama i jak rozszaławy huragan stepowy wypada z szumem zwarty legion w stal okutych rycerzy. Przoduje im koń biały o mlecznej, rozwianej grzywie, lekko niesie jeźdźca wyniosłej postawy, twar-demi jak krzemień kopytami rwie ziemię, niecierpliwie gryzie wędzidło, białe szmaty piany z rozwar-tego pyska toczy.

Zadudniał głucho most pod naporem i aż ugiął się z ciężkiem stęknieniem.

Już są na błoni. Błysnęła szablą srebrną błyskawicą na przodzie, stanęły szeregi jak w ziemię wryte, a wokół cisza, oczekiwaniem nabrzmiała, wchłaniała w siebie koni niecierpliwie chrapanie i radością rozparte piersi silnych oddechy.

Rozblity wielkie żrenice gwiazd ku ziemi, zdziwione i rade.

Rozspiewał się dźwięcznym akordem ciepły, wiosenny wiew, trąca radośnie o stalowe, błyszczące pancerze, potrząsa grzywami koni, blade, spiżowe twarze pieści żywicznym oddechem.

Powtórna błyskawicą srebrną błysnęła szablą na przodzie. I zagrzmiął śpiew równy, zwarty, jakby głos jednej, przepotężnej piersi. Pobiegł przez błonia szerokie i puste, rozlekał się szerokim westchnieniem w dali mrocznej.

I znowu zadudniała radośnie ziemia, rwana twar-demi kopytami, rozsrebrzyły się w biegu pancerze stalowe, pochyliły jak kłosa nabrzmiałe — blade, spiżowe twarze.

Pędzą!

Wokoło echo gra potężnym głosem. Ciemność zazdrośnie chłonie ich w siebie, już szarem widmem zwija się korowód pancerny... już giną...

Tylko mleczna grzywa przodującego rumaka, jak drobna, biała chorągiew, błyska od czasu do czasu, przecina jasnym zygzakiem nieprzebraną ciemność nocy.

I cisza ciężka zawisa nad błoniem, wielka, radosna, przejęta cudem wiosennym.

Zbudziła się wiosna... zbudziło się życie... zbudził się wielki duch uśpionych rycerzy. Ocknął się z trudem młody żołnierz, stojący na warcie u stóp starego zamczyska. Drżącą dłonią czoło przeciera blade. Cud, czy sen?

Przypadł do ziemi wilgotnej, rozpostartemi ramionami objął gorąco i płacze... A nie są to łzy, co krwawymi kroplami na dno duszy spadają, to wielkie, jasne, szczęścia łzy.

Roszą one tę ziemię, ciepłem, wiosennym tchnieniem objętą, wsiakają w nią chciwie, by wystrzelić kwiatem w purpurę zdobnym, kwiatem wolności i chwały!...

Przez obszerne, puste pola przeleciał gorący, wiosenny wiew.

Zbudziła się wiosna! Zbudziło się nowe życie!

Zakopane 6 maja 1915.

